

**www.poradniajęzykowa.pl**



Wydawnictwo  
Uniwersytetu Śląskiego  
Katowice 2007

# [www.poradniajezykowa.pl](http://www.poradniajezykowa.pl)

pod redakcją  
KATARZYNY WYRWAS

Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego



Katowice 2007

## Ci biedni językoznawcy, czyli kłopoty z kulturą języka

Biedni są przez te kłopoty z kulturą języka. I wcale nie chodzi o to, że z kulturą języka jest źle (bo nie jest źle). Ale chodzi o to, że:

1. Nie całkiem wiadomo, czy poradnictwo językowe jest działalnością naukową; czy rasowemu językoznawcy przystoi doradzać, potępiać, przewidywać, jednym wyrazem wróżyć zwycięstwo, inne skazywać na zapomnienie...

2. Wszyscy są z językoznawców niezadowoleni, bo jedni narzekają na nich, że nie mówią wyraźnie: tak jest źle, a tak dobrze; a innym nie podoba się, że – wyrokując – przypisują sobie władzę nad językiem, nie mając prawa nim rządzić – wszak nasza mowa jest własnością narodu, a nie językoznawców.

No, i czyż językoznawcy nie są biedni, stając wciąż przed dylematami: doradzać?, nie doradzać?, co doradzać?, co potępiać?, co pochwalać? Więc piszę ten artykuł, by naszych czytelników zapoznać trochę z wątpliwościami językoznawców, by wyjaśnić trudności, przed którymi stają; by usprawiedliwić milczenie lub – czasami – nie dość wyraziste i stanowcze zabieranie głosu; by wytłumaczyć, skąd i błędna ocena może się zdarzyć.

T. Konwicki w *Kalendarzu i klepsydrze* stawia takie pytania: *A może błąd językowy, tak jak w przyrodzie, jest początkiem rozwoju? Może język rozwija się, nabiera mocy, sugestywności – przez błędy? Może każdy błąd to malutka furteczka w przyszłość języka?*

Ależ trafne pytania! No, nie „każdy błąd”, ale istotnie wiele form tak dochodziło do prawa bytu w normie językowej: naprzód pojawiały się pojedyncze wypadki, z którymi nawet walczono, uważając je za błędy – ale nie pomogły upomnienia, te „błędy” rozszerzały się,

rozlewały, jak niepowstrzymane fale powodzi i musiano je wreszcie uznać za pełnoprawne jednostki polszczyzny. Przecie pewien gramatyk w I połowie XIX w. za „okaleczanie języka” uważał wprowadzenie powszechnych dziś bierników żeńskich z *-ę*, jak *opinię*, *mszę* czy *stację*. A astronom Jan Śniadecki, też interesujący się sprawami językowymi, widział w literze *j* (którą pewni gramatycy chcieli wtedy wprowadzić do polskiej ortografii) „podrzucone dziecko zarazy i zepsucia”, wrogi obcy wtęt... Spójrzmy na bliższe czasy: tuż przed wojną wydany słownik poprawnościowy S. Szobera formę *grunta* uważał za podstawową, zaś *grunty* za rzadką (a więc mniej godną polecenia); a dziś jest akurat odwrotnie. A w roku 1913 pewien doskonały językoznawca twierdził, że bierniki *jednę*, *bratową* są „w stadium zdobywania Krakowa”, zaś 1 os. liczby mnogiej *nosiemy* (zamiast *nosimy*) wkrótce może zwyciężyć. Inny bardzo znany lingwista dawał poważne szanse przymiotnikom *rygski*, *pragski*, sądząc, że powinny być górą nad *ryski*, *praski*, bo wyraźniej nawiązują do *Ryga*, *Praga*. Ileż razy wydawano wyrok na *tę*, na czas zaprzeszły (np. *napisałem był*), a jednak oba szacowne archaizmy jakoś nie wychodzą z użycia, choć istotnie nie są częste. Ale *tę* ciągle uznawane jest za lepsze niż *tą*, zaś czas zaprzeszły bywa ulubionym ozdobnikiem stylistycznym niektórych autorów.

Tak to kiedyś nowe i niezgodne z ówczesną normą *opinię*, litera *j*, *grunty* itd. były „malutkimi furteczkami w przyszłość” języka... i mylili się oceniający je uczeni. Mylili się ci, co wróżyli zwycięstwo formom *rygski*, *pragski*, a przekreślali *tę* i *napisałem był*. Po co więc te gramatyki, słowniki, książki i artykuły, skoro nie da się nic pewnego powiedzieć o rozwoju języka?

Trudno. Rzeczywiście nie da się go dokładnie przewidzieć i niewiele tu pomoże znajomość praw językowych. Niewiele pomoże, bo język jest działalnością człowieka, a człowiek jest nieprzewidywalny czy może – nie całkiem przewidywalny (i całe szczęście, że nie jesteśmy maszynami). Człowiek jest istotą nadzwyczaj złożoną, a działania takich układów nie da się prognozować. Coś jak z pogodą, ale chyba gorzej. Przypomina się stwierdzenie de Latile’a: *Wszędzie znajdujemy przykłady działań, które są niemożliwe do przewidzenia ze względu na ich wielką złożoność: fala rozpryskująca się na skale, garść piasku rzucona w powietrze – każda kropla wody, każde ziarnko piasku podlega tylko prawom znanym człowiekowi, a jednak człowiek nie może przewidzieć ich torów*. Tę nieprzewidywalność różnych zjawisk podkreśla modna dziś teoria chaosu, gdy pyta (oczywiście malowniczo a metaforycznie przesadzając), czy można przewidzieć, że delikatny trzepot skrzydła motyla w Brazylii spowo-

duje tornado w Teksasie. Może spowodować, ale przewidzieć to – trudno.

W przypadku przewidywania dróg rozwoju języka sytuacja jest o tyle skomplikowana, że człowiek ustawicznie reguluje język, poprawia, dopasowuje do aktualnych potrzeb, usiłując zaspokoić dwie tendencje, walczące ze sobą i dające sprzeczne efekty: 1) mówić wyraziście, maksymalnie zrozumiale, 2) mówić krótko, zwięźle, aby nie znudzić rozmówcy i zanadto się nie zmęczyć. A te dwie tendencje nie są zgodne ze sobą, jedna wręcz niszczy drugą. Chcemy szybko mówić, to polykamy głoski i mówimy niezrozumiale (i brzydko): *czy (trzy czy czy?)*. Ale jednak niektóre „polykania” zwyciężyły i weszły na stałe do języka: *ufać z upwać* (krótsze, łatwiejsze, ale zerwał się związek znaczeniowy z *pewny*). Albo *dwa-naście, trzy-naście* itd., gdzie *-na dziesięć* skróciło się w *naście*, ale zerwał się związek z wyraźnym sensem doliczania do dziesięciu. Bywa i tak, że zwycięża potrzeba wyrazistości i porzuca się formy krótsze na rzecz dłuższych, aby wypowiedź była mocniejsza, aby silniej poruszyć, skuteczniej perswadować. Oto obecnie częściej wybieramy stopniowanie złożone, dłuższe, np. wolimy *bardziej dowcipny, bardziej sprawny* od *dowcipniejszy, sprawniejszy*. Sądzymy, że dwoma wyrazami dobitniej wyrazi się większy stopień natężenia.

Tak w dziejach te dwie tendencje ścierają się ze sobą, jeszcze różne inne się dołączają (np. wpływy języków obcych) i walczą, jak stronnictwa polityczne, z których każde inne dobra narodowi obiecuje. Język jest najbardziej demokratycznym tworem człowieka, gdyż całe społeczeństwo, mówiąc i pisząc, niejako głosuje za pewnymi formami i większością głosów wybiera te, które lepiej służą komunikacji społecznej.

Językoznawca zaś próbuje domyślać się, które formy będą lepiej służyć. Ale tylko domyśla się i dlatego można takie „domyślanie się” i poradnictwo uważać za nienaukowe i stronić od wartościowania faktów językowych. Takie wątpliwości ogarniają zwłaszcza historyka języka, który z wyrozumiałością (dla błędów) patrzy na wielowiekową drogę rozwojową języka, drogę przez pobojozwoiska świetnych ongiś wyrazów, przez triumfy ongiś potępianych i na próżno zwalczanych nowości. A tu pytają go, jak to odmienić, jak tamto wymówić, co lepsze, co gorsze... I co ma robić ten biedny językoznawca?

Jest jednak jakaś potrzeba społeczna, koło której nie można przejść obojętnie. Uważam, że obowiązkiem człowieka nauki jest przekazywanie posiadanej wiedzy do użytku społecznego. Czyli na potrzebę społeczną winno się odpowiedzieć, przynajmniej próbować odpowiedzieć. Nie można więc zarzucać językoznawcom dyktatury

nad językiem – po prostu skoro są do nas pytania, powinniśmy odpowiadać, zgodnie ze swoją wiedzą i ze swoim sumieniem społecznym. I przecie dużo jest tych porad i w radiu, i w telewizji (może mniej w prasie ogólnej), i drogą korespondencyjną (z Radą Języka Polskiego przy PAN), i telefoniczną (z różnymi poradniami przy uczelniach), i w prasie specjalistycznej (np. w „Poradniku Językowym”).

Sądzę, że językoznawca może brać udział w poradnictwie też z czystym sumieniem naukowym. Jakże widzę powody?

1. Można jednak wskazać formy, które z pewnością są niezgodne z podstawowymi filarami systemu języka polskiego, więc nie zasługują na poparcie. Są to np. zaniechania odmiany rzeczowników, która od wieków jest charakterystyczną cechą języków słowiańskich – a tu pokazują się zwroty z nieodmienionymi nazwiskami, np. *dziękujemy panu doktorowi Panek, współczujemy Szymonowi Sako-wicz!*

2. Można również wyodrębnić takie formy, które – choć dałoby się obronić z punktu widzenia gramatyki – rażą mocno większość tzw. kulturalnych użytkowników języka, czyli osób względnie poprawnie władających polszczyzną. Nie należy więc irytować społeczności, aprobując np. *cofłem* zamiast *cofnąłem*, *przyszłem* zamiast *przyszedłem* czy *umią* zamiast *umieją*. Poczekajmy, aż może kiedyś przestaną razić.

Mają więc językoznawcy i prawo, i obowiązek prowadzenia poradnictwa językowego: winni przy tym mieć na uwadze przede wszystkim dwa wymienione względy: zgodność kwestionowanej formy z podstawowymi zasadami systemu językowego i stopień (dez)aprobaty społecznej danego przypadku. To jednak nie zwalnia od pamięci o niepewnej przewidywalności rozwoju języka...

Na co jeszcze należałoby zwrócić uwagę, jakie zjawiska niepokoją i językoznawców, i bardziej uważnych, wrażliwych obserwatorów polszczyzny?

To, co obecnie szczególnie daje się odczuwać i wywołuje krytykę, to dwie sprawy: napór języka angielskiego i napór wulgaryzmów. I tu językoznawca winien się wypowiedzieć, bo są to problemy łączące się z całokształtem współczesnej kultury, nieobojętne więc dla powszechnego życia społecznego. Mówią na ten temat psychologowie, zabierają głos socjologowie i politycy, nie może zabraknąć głosu lingwistyki, zwłaszcza dlatego, że jej najnowsze prądy starają się wykryć i opisać właśnie związki języka z myślą człowieka i z jego twórczością kulturową.

Napór angielszczyzny jest zrozumiały wobec obejmującej wszystkie sfery życia globalizacji. Już nie pierwszej (choć pierwszej na tak

olbrzymią skalę) – była „globalizacja” łacińska, była francuska, teraz jest anglosaska. Musimy ją przyjąć, bo jest faktem historycznym, ale trzeba ją tak oswoić, żeby nasz język na tym nie ucierpiał. Przyjmujemy więc tylko te wyrazy, które są koniecznie potrzebne, bez których nie da się utrzymać komunikacji społecznej, a które nie mają polskich odpowiedników. Nie zastępujemy całych zdań czy zwrotów polskich zdaniami angielskimi (co się spotyka w różnych reklamach, zapowiedziach imprez, ogłoszeniach itp.), bo to już jest rezygnacja z własnego języka. Natomiast pojedynczy zapożyczony wyraz może być wzbogaceniem naszej mowy, jak zwielokrotniają jej bogactwo wrosłe w nią od wieków, a odpowiednio spolszczone wyrazy łacińskie, niemieckie, czeskie, francuskie, włoskie i inne.

Napór wulgaryzmów jest bardzo silny i daje się odczuwać nawet na najwyższych szczeblach władz państwowych, skoro czołowi ich przedstawiciele w oficjalnych (!) wypowiedziach nie unikają takich wyrazów, jak *draństwo* czy *tajdacki*, które nie należą do kulturalnego zasobu słownika języka polskiego.

To nie są problemy czysto językowe – to są problemy ogólnokulturalne, bo z obcymi zwrotami i zdaniami wkracza do nas obcy sposób myślenia i odczuwania; bo wulgaryzacja języka łączy się z wulgaryzacją kultury osobistej, tej pozajęzykowej; po prostu ze schamieniem i przemocą. A to już jest społecznie niebezpieczne, więc przerażające. Użycie wulgarnego języka ośmiela do wulgarnego użycia siły fizycznej. Panując zaś nad językiem, opanujemy siebie.

I z tego końcowy optymistyczny wniosek: jednak językoznawcy nie są tacy biedni. Wszak mogą w pewnej mierze zorientować się, co dla języka będzie dobre, co złe. Mogą więc doradzać, nie popadając w kolizję z przekonaniem naukowym o sporej nieprzewidywalności rozwoju języka. I mogą pomagać w doskonaleniu nie tylko języka, lecz w doskonaleniu w ogóle naszej kultury, w utrzymywaniu narodowej tożsamości, w polepszaniu – łagodzeniu stosunków między ludźmi.

Mędrzec Starego Testamentu powiada: *W mowie jest chwała i hańba człowieka*. Niech nasza wspólna praca nad językiem przyniesie chwałę kulturze polskiej.

*Irena Bajerowa*

Kraków, lipiec 2006